

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIEŻNICZKA

16

Ciąg dalszy.

— I lalki także. Ja już mam jedną dużą, taką jak prawdziwe dziecko i pokój sypialny dla niej i sukienki. O, on mi wszystko daje.

— A ten drugi ojciec? — zapytał nieśmiało.

— Mój drugi tatuś inaczej mnie kocha. Kocha ze sercem... Jego zabawki nie są takie ładne, jak tamtego, ale ja je wolę...

— A tego tatusia często widzisz?

Zaczął ciszej mówić:

— Przedtem to go widywałam często, bo u niego mieszkalam, lecz mnie mamusia wzięła ze sobą i z drugim tatusiem; bardzo smutna byłam, bo chciałam go zobaczyć.

— Ale ty kochasz mamę?

— No tak, czyż można nie kochać takiej mamusi, jak moja?

Przez chwilę milczeli.

— Ty masz ładne imię — rzekł Jacek z przekonaniem — Gizela.

— Prawda, bardzo eleganckie. Ja je dopiero mam, odkąd mieszkam z drugim tatusiem. Przedtem miałam inne, ale także ładne.

— Jakie?

— Nie mogę powiedzieć, nie wolno mi.

— Potem dodała:

— Ja pewnie źle robię, że to wszystko mówię. Gdyby mamusia wiedziała, toby się na mnie gniewała.

— Dlaczego?

Spojrzała na Jacka poważnie i rzekła z tajemniczą miną:

— Przecież to są tajemnice rodzinne.

Jacek opuścił głowę zawstydzony, że o tem nie wiedział, a zarazem zadowolony, że zasłużył na takie zaufanie.

— Podoba ci się Wenecja? — zapytała.

— Tak, bardzo..

— A mnie nie. Tu wszystko smutne; nie, tylko woda i czarne łodzie i wszystkie takie stare. Niema ani koni, ani karet, ani samochodów.... Ja lubię Paryż.

— O, tak, Paryż — powtórzył machinalnie Jacek. — Tam są wielkie sklepy z zabawkami i wieża Eiffel!

— Ja lubię i wieś, mój pierwszy tatuś kocha bardzo swój domek, cały zielony. Tam za ogrodem płynie rzeczka, tatuś łowił ryby, a ja na łódce jeździłam.

— Naszą gondolę widziałas? — zapytał Jacek z dumą.

— Tak. Jabym wolała motorówkę, prędzej jeździ.

Widząc, że się zasmucił, dodała:

— Ale twoja gondola jest bardzo ładna.

— Gizelo — zawołał Jacek wzruszony — ja bym chciał być zawsze twoim przyjacielem.

Odpowiedziała, schylając głowę:

— Ty jesteś bardzo miły.

Zarumienił się z radości.

— Dzieci!... — zawołała pani Le Chars.

— I twoja mamusia mi się podoba, ona bardzo dobra.

— O, tak, tak — odpowiedział Jacek z przekonaniem.

Doszli do swych matek.

— Więc pan Le Chars — mówiła pani de Pre-Hautre — nie uzna za niedyskretną mojej wizyty?

— Mój mąż jest bardzo uprzejmy — odparła spokojnie Joanna.

— O której porze będę najmniej przeszkadzała?

— Zawsze można męża zastać między jedynastą, a dwunastą. Jeżeli pani pragnie, uprzedzę go o wizycie pani.

— Jak pani jest miła! A więc do jutra!

— Przez ten czas Jacek i Gizela będą się mogli bawić w ogrodzie.

— Ach, jak to dobrze! Muszę już panią pożegnać, gdyż mam kilka osób na obiedzie, a potem idziemy do teatru.

— Jeżeli pani nie bardzo się spieszy, mogłabym odwiedzić swą gondolę.

— Serdecznie dziękuję, ale weźmiemy motorówkę.

Pani Le Chars, trzymając za rękę Jacka, szła w chwilę potem do przystani. Niedaleko brzegu spotkała się ze wzrokiem, utkwionym w siebie, jakiejś starszej damy, o włosach prawie zupełnie siwych. W wyrazie jej twarzy malowała się szczerość, a zarazem i pewność siebie: Angielka lub Amerykanka? Najprawdopodobniej Amerykanka. U-

brana była skromnie, ale elegancko z wykwintnym smakiem.

Gdy Joanna przechodziła koło ławki, na której siedziała ta dama, usłyszała zwrócone do siebie słowa:

— Przepraszam najmocniej, że ośmielam się, choć nieznajoma, zwrócić się do pani.

Dama ta podniosła się z ławki, mówiąc dalej:

— Obecność moja może wydać się dziwną, lecz bywają wypadki, gdy należy zapomnieć o konwensansach.

Ponieważ pani Le Chars spoglądała na nią zdziwiona, zapytała:

— Czy ten ładny chłopczyk umie po włosku?

— Bardzo nie wiele.

— W takim razie możemy rozmawiać swobodnie. Pani pozwoli, iż się pani przedstawię: jestem Seymour. Wenecja zaś jest zbyt mała, by można było nie znać pani Le Chars, żony konsula francuskiego.

— Jeżeli taka stara kobieta jak ja, nie bardzo jest straszna, może pani zechciałaby kilka chwil posiedzieć ze mną, pragnę otrzymać trochę wiadomości o osobie, która zawsze jest mi droga, a o której pani może mnie najlepiej poinformować.

Czy powiedziałam już swe nazwisko? Ach tak: Seymour... Czy to pani nic nie przypomina? Czy nigdy nie wspominała o mnie najlepsza pani przyjaciółka?

— Pani Seymour! Ależ tak! Aurora bardzo często mówiła o pani.

Przypomniała sobie wszystkie zwierzenia pani Morailles o tej starej przyjaciółce.

— Życie jest tak dziwne — mówiła pani Seymour z akcentem lekkiej melancholii. Gdym opuszczała Francję, byłam prawie doszczętnie zrujnowana, dzisiaj dzięki pracy i silnej woli odzyskałam majątek, który mi zapewnia spokój na starość. Wtedy pozostawiłam młodą, nieszczęśliwą panienkę, a czy dzisiaj jest ona szczęśliwą mężatką, tego nie spodziewam się.

— Czy pani pozwoli mi przyjść porozmawiać o naszej wspólnej przyjaciółce? Może mnie nie zapomniawszy jeszcze.

Joanna ani minuty nie wahała się z odpowiedzią.

— Bardzo pożądanym będzie pani gościem.

— Pani poślubiła brata człowieka, dla którego miałam wiele poważania i przyjaźni — mówiła dalej stara Amerykanka. — Ponieważ pani pozwala mi odwiedzić siebie, przyjdę i postaram się dać dowód, że w czasie potrzeby można na mnie liczyć.

Joanna spojrzała na nią: czy słowa te mają jakie ukryte znaczenie?

— Pozwoli pani, że postaram się dowieść tego nawet zaraz. Czy tylko nie weźmie mi pani za złe, jeżeli się zapytam, czy zna pani dobrze tę młodą i przystojną osobę, z którą przed chwilą spacerowała?

— Tak, jak można znać kogoś w kosmopolitycznym mieście, gdzie tyle przebywa przejezdnych.

— To samo myślałam. Nie mam żadnych przesądów, pozwoli jednak pani przestrzedz się, że ta piękna pani nie stanowi dobranego towarzystwa dla uczciwej kobiety.

— Czy pani wie co o niej?

— Mieszkam w jednym hotelu, na jednym korytarzu razem z panią de Pre-Hautre. Zachowuje się ona bardzo swobodnie, co zwraca powszechną uwagę. Utrzymuje ona stosunki ściśle z osobą, która nie jest panem de Pre-Hautre. Przyjmuje w nocy jego wizyty, które przeciągają się aż do rana.

Joanna zażenowała się.

— Nie wspominała bym o tem, gdyż każdy jest panem swych czynności, lecz zachowanie się tej pani jest już dość głośne i na różne sposoby komentowane.

— Dziękuję najuprzejmiej za przestrzeżenie; zauważyłam w niej pewną nienaturalność, nie wiedząc jednak nic pewnego... Jakże to bolesne, że jej córeczka ma takie przykłady...

— Ale pani zapewne chce już wracać, nie będę zatrzymywała, proszę tylko zanotować mój adres: English hotel. Do przedkrego zobaczenia się.

W tym czasie Maurycy Le Chars po wyjeździe żony i syna wrócił do swego gabinetu i siadł przy biurku. Napróżno jednak starał się zająć czytaniem rozłożonych przed sobą papierów. Myśl jakby zahipnotyzowana powracała ciągle do tej samej rzeczy, która od pewnego czasu mroczyła pogodną jego czoło.

Po wyleczeniu się z opium poddał się nowej namiętności, pod niejednym względem gorszej niż pierwsza, grze w karty. Opium niszczyło tylko jego samego, gra zagrażała spokojowi i dobrobytowi żony i syna. Wsparł głowę na rękach, jakby chciał za-

kryć przed sobą widok, jaki ciągle nasuwał mu się przed oczy. On przy zielonym stoliku, grający bez myśli nawet o swych najbliższych. Co za wstyd! Do tego stopnia uległ pociągowi do kart, iż wczoraj wieczorem przegrał do hrabiego Olovera dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Musiał pisać natychmiast po nie do Paryża, by pożyczyć. Lecz co jutro będzie, co pojutrze? Czy na to wyleczył się z opium, by wpaść w nowe, większe jeszcze nieszczęście? I jak on może teraz spojrzeć w oczy temu zimnemu i dumnemu hrabiemu Olovera i prosić go o zwłokę, tłumacząc się, że pieniądze jeszcze mu nie nadeszły, kiedy kodeks honorowy nakazuje spłacić taki dług w dwudziestu czterech godzinach. Gdyby zdobył się na wyznanie swej namiętności ukochanej żonie, ona jedna potrafiłaby go wydobyć z tej toni, w którą coraz głębiej zapadał. Lecz nie śmiał tego uczynić, z obawy przed utratą jej uczucia i miłości. Nie... niech ona o tem nie wie nigdy... Przecież razu pewnego wygrał jednego wieczoru trzydzieści tysięcy franków, może więc szczęście powrócić do niego. A w razie nowej przegranej?...

Na myśl tę Maurycy Le Chars machinalnie otworzył szufladę biurka i wydobyl z niej mały, niewielki rewolwer, nabity ośmioma nabojami. Jeden starczy...

Naraz rozległy się jakieś kroki. Pospieszenie wrzucił rewolwer do szuflady i zamykając ją, powstał gotowy do przyjęcia gościa. To pewno Olovera, pomyślał. Co mu odpowiedzieć? Weszła jednak Joanna, jaśniejąca pięknnością. Widząc zasmuconą jego twarz, podeszła do niego i wzięła go za rękę.

— Ty cierpisz, ty zmartwienie masz jakieś. Powiedz mi wszystko.

— Nie, to nic, trochę gorączki... Zdaje mi się, że obecne powietrze Wenecji wcale mi nie służy. Jeżeli zgodzisz się, to możemy przyjąć zaproszenie i wakacje spędzić we Francji.

— Wszystko co chcesz, mój ukochany, na wszystko się zgadzam, bylebyś był zdrow; czem my się staniemy bez ciebie?...

— Tak, tak — szeptał wzruszony do łez.

Opuścić Wenecję — myślał — ten przeklęty zielony stolik i oby Joanna nigdy nic nie wiedziała!...

III.

KAT PANI DE PRE-HAUTRE.

Następnego dnia gdy pani, de Pre-Hautre, przyjechała przez Maurycyego Le Chars, zwierzała mu się z nieszczęść swego życia i prosiła o pomoc, a Jacek i Gizela pod opieką grubej Ludwiki bawili się w ogrodzie konsulatu, do pokoju Joanny wszedł Denis Friand, sekretarz jej męża.

W rękę trzymał kartę wizytową:

— Przepraszam najmocniej, że pani przeszkadzam...

— Proszę bardzo. Co się stało?

— Jakiś pan, Francuz, domaga się usilnie o przyjęcie przez konsula lub przez panią. A ponieważ pan Le Chars jest obecnie zajęty...

Wzięła podaną kartę i przeczytała nazwisko, zapomniane od lat wielu, które jednak odrazu przywołało jej na pamięć szereg tragicznych wspomnień...

— Lecz mąż nie jest teraz wolny...

— Dlatego też ten pan prosi bardzo, by go pani przyjęła.

— Dobrze, niech go pan wprowadzi. A jaki ma interes?

— Bardzo jest skryty. Mówi że to sprawa czysto osobista.

— A więc bardzo proszę.

W dwie minuty potem pan Friand wprowadził niskiego, w starszym już wieku jegomościa, tak chudego i cienkiego, iż zdawało się, że najmniejszy wiatr może go przewrócić.

Sklonił się i rzekł cichym, astmatycznym głosem:

— Proszę wybaczyć mi tę wizytę, lecz nie jestem dla pani zupełnie nieznanym: — Mitre.

Patrzyła na niego z litością. Jakże on się zmienił od tego czasu, gdy się widzieli na avenue Malakoff przy zwracaniu sobie zamienionych niemowląt.

Sądząc, że zapomniawszy o nim, dodał:

— Jestem ojcem małej Made, którą...

— Ależ ja pana poznaję doskonale, proszę niech pan usiadzie.

I wiedziona delikatnością, słysząc jego kaszel, podniosła się, by zamknąć otwarte okno:

Gdy siadł, wydał się jeszcze mizerniejszy, słabszy, z pochylonemi plecami, z ostro zakończonemi kolanami. Postarzał się o dwadzieścia lat.